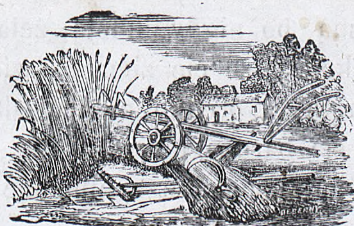
Tom I. 1. Czerwca 1870. Nr. 16.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1., 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Podróż Macieja Kołowrotka.

Czytelnikom „Dzwonka“ na pożytek i zabawę opowiedział

Bartek Szkolarz.

(Ciąg dalszy.)

Maciej wybiegł prędo z pomieszkania pisarza i żałował że zamiast bawić się, słuchać musiał nauk jego.

— Straciłem niepotrzebnie tyle czasu — pomyślał sobie idąc przez wieś — co mi tam przyjdzie z tego, że wiedzieć będę, co to jest kolej żelazna i jak się tem jeździ? Tego przecież nikt odemnie nie kupi.

Tymczasem doleciał do uszu Macieja odgłos ochoczej muzyki z karczmy. Wstąpił więc, pogadał z kilkoma gospodarzami o żniwie i urodzajach, pofiglował z ładnemi dziewczętami i puścił się w drogę do domu.

Gdy wrócił do Jagódki zaraz na wstępie do wsi spotkał Antka, którego nie lubiał bardzo. Antek bowiem umiał czytać i pisać, więc śmiał się nieraz z Macieja, że o niczem nie wie jak tabaka w rogu. Maciej dowiedziawszy się cokolwiek o kolei żelaznej, chciał się z tem popisać przed Antkiem, bo myślał, że ten nic o tem nie wie.

— A wiesz ty, co to jest kolej żelazna? zapytał Maciej.
Antek zdziwił się na to pytanie. Po chwili odpowiedział:

— Czytałem ja coś o tem, ale cała ta rzecz nie jest mi jeszcze zupełnie jasną bo nigdy koleją żelazną nie jeździłem.

— A no to szkoda, że cię ziemia święta nosi — odpowiedział Maciej szorstko i prędko poszedł dalej.

Antek zdumiał się bardzo i myślał, że Maciej zwaryował. Chciał pobiedz za nim i pogadać z nim, ale miał pilną robotę, więc nie mógł się wracać.

Maciej tymczasem idąc przez wieś popisywał się przed każdym, kogo tylko spotkał, ze swoją nauką. Każdego pytał, czy widział kolej żelazną, a ponieważ właśnie teraz spotykał się tylko z młodymi parobkami, którzy jeszcze o tem nie wiedzieli, więc prawił im smalone duby i niestworzone rzeczy. I byłby ich dalej bałamucił, ale wtem nadszedł gospodarz, co za młodu służył w wojsku i poznał różne kraje i rzeczy. Maciej wiedział, że z tym gospodarzem trudna sprawa, bo mu niczem oczu zamydlić nie można. Nie czekając więc na niego, opuścił wszystkich parobków i pobiegł prędko do domu.

Nazajutrz rano wybrał się Maciej z parobkiem swoim do Szańca. Przybył do miasta w samo południe. Odesławszy parobka z końmi do domu, sam pobiegł prędko na kolej żelazną. Na wstępie zdumiał się Maciej ogromnie, bo zastał tu wiele rzeczy ciekawych, o których mu się dotąd nie śniło nawet. Przypomniał sobie, co mu pisarz opowiadał i przekonał się, że to wszystko jest prawdą. Żałował przytem, że nie słuchał dłużej pisarza, bo byłby się może dowiedział o wszystkich rzeczach, które tu po raz pierwszy widział, a których znaczenia sam odgadnąć nie potrafił. W tej chwili przyznawał że nauka jest pożyteczną i wyrzucał sobie, że się niczego nie nauczył.

Maciej przypatrywał się uważnie każdej rzeczy, oglądał wszystkie żelazne wagony i maszyny, podziwiał porządek, jaki tu wszędzie zastał i wszystko rozciekawiało go bardzo.

Chciał już jak najprędziej wyjechać, by poznać jazdę koleją żelazną. Zbliżył się do jakiegoś pana stojącego koło niego i rzekł:

— A proszę też pana wyprawić mię jaknajprędzej. Spieszno mi bardzo w drogę, więc chciałbym zaraz wyjechać.

Pan ten popatrzył na Macieja i roześmiał się głośno. Boć to przecież koleją żelazną nie można jechać o każdej godzinie, kiedy się podoba i tak na zawołanie. Pociąg wyjeżdża zawsze o jednej i tej samej godzinie i minucie, a wiezie z sobą nie jednego człowieka, lecz kilkadziesiąt a nawet kilkaset ludzi.

— To wy pewnie panie gospodarzu po raz pierwszy jedziecie koleją żelazną? — zapytał ów pan Macieja. Maciej nie chciał wyznać prawdy, więc postanowił skłamać i rzekł:

— Chyba pan żartuje ze mnie! Wszakże ja co tydzień jeżdżę koleją żelazną po naftę do Borysławia.

Pan ów na tę odpowiedź parsknął głośnym śmiechem. Ależ bo skłamał Maciej nadzwyczajne niezręcznie! Kolei żelaznej nie ma w każdem miejscu, tylko tam, gdzie do tego umyślnie drogę zbudowano. W Borysławiu nie było i dotychczas jeszcze nie ma kolei żelaznej.

Poznał Maciej, że mu się kłamstwo nie udało, więc zawstydził się mocno i poszedł prędko w inną stronę. Postanowił siedzić już teraz spokojnie i czekać aż dadzą znak, że już można jechać.

Tymczasem minęło półtory godziny. Z przeciwnej strony nadszedł pociąg, a zaraz w kwadrans potem miał odejść drugi do Kalińca, dokąd właśnie Maciej zdążał. Gdy Maciej ujrzał długi szereg wagonów z ludźmi, towarami, wołami i końmi, gdy usłyszał świst i syk maszyny, która jakby na skrzydłach unosiła za sobą długi ogon wozów i co chwila wyrzucała ogromne chmury dymu — zemdlał prawie ze strachu.

Wkrótce potem otwarto kasę. Maciej usłyszał, że kupują bilety, więc i on sobie kupił kartkę, za którą mógł jechać aż do Kalińca Skoro kupił tę kartkę, nadszedł pociąg i kazano wszystkim siadać do wagonów.

Gdy już trzeba było siadać do wagonu, przypomniał sobie Maciej, że mu fajka zgasła.

— Panie! rzekł do jednego z tych, co utrzymują porządek na kolei i koło wagonów chodzą — Panie! Fajka mi zgasła; pójdę po ogień. Zaczekajcie więc póki nie wrócę.

Maciej nie wiedział, że na kolei nie można i setnej części minuty stracić. Tam wszystko tak porządnie idzie jakby ze-

*

garek. O jednej godzinie, ba nawet jednej minucie odchodzą zawsze pociągi. Choćby Bóg wie kto chciał zatrzymać pociąg, to by mu się to nie udało. Porządek i regularność taka jest tu bardzo potrzebną. Na dzień bowiem przychodzi i odchodzi kilka pociągów zawsze o pewnej godzinie, a nawet minucie. Gdyby się tak spóźniano do woli, mogłyby się zetknąć z sobą dwa pociągi, a wtedy nie trudno o takie nieszczęście, o jakiem opowiadał Maciejowi pisarz.

Więc gdy usłyszano pytanie Macieja, wszyscy śmiać się zaczęli.

— Za pół minuty odchodzi pociąg! zawołał urzędnik — siadać!

Gdy Maciej zobaczył, że wszyscy tak pospieszno siadają do wagonów, zapomniał o fajce i siadł tożsamo jak najprędzej. Skoro tylko usiadł w wagonie, zadzwoniono i pociąg ruszył.

Maciej siedział sam jeden w wagonie. Z początku bawiła go bardzo taka szybka jazda, ale wnet przypomniał sobie, że fajka mu zgasła.

— A no, co to za źli ludzie! pomyślał. Nie chcieli się zatrzymać i chwilkę jedną, bym sobie mógł ognia wziąć od człowieka. Poczekajcie więc! Wystrychnę ja was teraz na dudka za to! Zmuszę was do tego, że stanąć musicie, póki sobie fajki nie zapalę.

Roztworzył sobie okienko i począł krzyczeć z całego gardła:

— A hou! Stój!

Ale głosu tego nikt nawet i nie słyszał. Świst maszyny zagłuszył go prawie.

— Djabła zjecie, ale ja was nauczę, pomyślał Maciej, i rzucił kapelusz na ziemię. Muszą stanąć, bym sobie mógł podjąć z ziemi kapelusz. Jeżeli nie staną, to zapłacą tak, jak za nowy, bo im powiem, że mi przypadkiem spadł z głowy.

— Stójcie! Kapelusz spadł mi z głowy! wołał Maciej w niebogłosy. Stójcie, bo mi zapłacicie za nowy kapelusz a taki kapelusz kosztuje jeden złoty reński i dwadzieścia dudków.

Ale któż tam zważał na to wołanie. Kolej nie może się ani na jedną minutę w drodze zatrzymać. Tymczasem zaś ludzie, co siedzieli w sąsiednim wagonie patrzali na to,

widzieli wszystko i śmiali się z Macieja jakby z warjata jakiego. Macieja gniewało to okropnie. W okamgnieniu znikł kapelusz, bo nim się obejrzał po za siebie, kolej uleciała już taki kawał drogi, że i śladu kapelusza nie można było zobaczyć.

— Czego się śmiejecie gawrony, małpy! wołał Maciej do swych sąsiadów, co także koleją jechali w sąsiednich wagonach.

Ale gniew ten Macieja pobudzał ich do jeszcze większego śmiechu. Wszyscy byli pewni, że to jakiś człowiek opętany, więc robili przed nim znak krzyża swiętego. Maciej aż trząsł się ze złości

— Pomszczę ja się na was! wołał Maciej i zgrzytał z gniewu zębami. Za kapelusz zapłacicie mi jeden złoty i dwadzieścia dudków, a tymczasem za wasz upór dam wam nauczkę.

Po tych słowach jednym z machem ręki stłukł dwie szyby w oknie. Nie skończyło się na tem. Wywijał kułakami dokoła tak, że w dwóch wagonach powybijał wszystkie szyby. Mocno to cieszyło Macieja.

— Teraz możecie mię procesować! wołał. Za kapelusz zapłacicie mi, a te szyby to kara za wasz upór i złość waszą.

Dopiero w pół godziny potem zatrzymał się pociąg na pół minuty, bo stanął na stacyi przedzielającej Szaniec od Kalińca. Tu stawał zawsze pociąg na pół minuty, zabierał wszystkich podróżnych i pędził dalej do Kalińca. Maciej zaś myślał, że urzędnik zląkł się jego gniewu i zatrzymał maszynę.

Maciej pierwszy ze wszystkich wyskoczył z wagonu.

— A co? zawołał z uśmiechem do konduktora od kolei. Kto wygrał sprawę? Jeżeli mi zaraz za kapelusz mój nie zapłacicie jednego złotego i 20 dudków, to was ztąd nie puszczę.

— Kto to okna potłukł? zawołał konduktor.

— A któż, jeżeli nie ja — odparł Maciej bardzo śmiało. To jeszcze dla was kara mała. Na drugi raz trzeba stanąć, jeżeli się jaki przypadek wydarzy. Nauczę ja was, poczekajcie!

Konduktor patrzał na Macieja jakby na warjata jakiego, a wszyscy ludzie co około niego stali kładli się aż na ziemię ze śmiechu.

— W Kalińcu zapłacicie za tę szkodę, rzekł kunduktor, a teraz siadajcie, bo za kilka sekund pociąg odchodzi.

— W Kalińcu? zawołał Maciej bardzo zuchwale. Wy mnie tutaj zaraz za kapelusz zapłacić musicie, bo inaczej nie puszczę was ztąd.

I przy tych słowach chwycił Maciej za koło wagonu. Tymczasem zadzwoniono, z maszyny buchnął dym i pociąg zaczął się powoli z miejsca ruszać.

— Nie puszczę! wołał Maciej. Ja was nauczę!

Gdyby jeden człowiek ze służby kolejowej nie był odtrącił szaleńca na bok, Maciej byłby wpadł pod koło i niechybną śmiercią przepłacić by musiał ten krok zuchwały. Kolej ruszyła i niebawem zniknęła z oka Maciejowi, który stał zdziwiony i jakby piorunem rażony.

— Ja zapłaciłem za podróż aż do Kalińca, zawołał. Oddajcie mi pieniądze lub wyszlijcie mię osobnym wozem, bo inaczej pójdę do sądu.

— To wasza wina — rzekł do niego urzędnik od kolei. Możecie nas skarzyć, gdzie chcecie, a tymczasem zapłacicie za te okna, coście w drodze potłukli, trzy złr.

— Co? zawołał Maciej. A mój kapelusz?

Urzędnik się zaśmiał i rzekł:

— Zapłaćcie natychmiast, bo inaczej ot ten policjant, co tu stoi, weźmie was do aresztu.

Maciej widząc koło siebie policjanta, uląkł się naprawdę, i rad nierad zapłacił żądane pieniądze. Ale w duchu był pewny, że to jakieś oszustwo i że skoro powróci do domu, sądownie zmusi urzędnika do zwrotu pieniędzy i zwrócenia utraconego kapelusza. Mocno rozgniewany poszedł do karczmy i zaczął się odgrażać. Ale arendarz i inni włościanie wytłumaczyli mu powoli, że jego sprawa przegrana, bo kolej nie może się zatrzymywać, choćby kto w niebogłosy wołał i nietylko kapelusz, lecz nawet surdut w drodze zgubił.

— Ale cóż ja teraz mam robić? zapytał Maciej z wielkiem zakłopotaniem.

— Nu co macie robić, rzekł arendarz. Ja wam sprzedam kapelusz, a wieczorem pojedziecie sobie innym pociągiem do Kalińca.

Rad nierad musiał, Maciej usłuchać tej rady. Przepłacił bardzo jakiś stary kapelusz i czekał przez cały dzień na pociąg wieczorny. Pociąg odchodził o ósmej godzinie, a na dziewiątą stawał w Kalińcu. Maciej myślał, że zapłaciwszy w Szańcu za całą podróż, pojedzie teraz daremnie, ale gdy mu wytłumaczono, że musi drugi raz zapłacić, bo kolej nie wraca pieniędzy tym, którzy z własnej winy zaniechali podróży, szarpał włosy ze złości i utrapienia. Ale cóż miał robić? Zapłacił po raz drugi za podróż.

Gdy kolej nadeszła Maciej, siadł do wagonu bardzo spokojnie i ostrożnie, by przypadkiem nie zrobił nowej szkody.

Wśród dalszej podróży nie złościł się już więcej, nie tłukł szyb i nie groził nikomu procesem. Siedział owszem w kącie bardzo spokojnie. Wyrzucał sobie nawet, że nie słuchał pisarza do końca, bo może dowiedziałby się był i o tych przepisach na kolei, a tem samem uniknął przykrego wypadku, który go już tyle pieniędzy kosztował. Koło Macieja siedział jakiś podróżny, który spał jak zabity. Maciej widząc to wsparł się o ścianę i dumając o swem nieszczęsciu, zasnął tożsamo.

(Dokończenie nastąpi)

Stanisław Jachowicz.

Stanisław Jachowicz urodził się dnia 17 Kwietnia 1799 roku w miasteczku Dzikowie nad Wisłą, uczył się w Rzeszowie Stanisławowie, nakoniec we Lwowie. Kiedy ukończył nauki postanowił zostać nauczycielem.

W roku 1818 przybył Jachowicz do Warszawy, gdzie pomimo lat młodych dał się od razu poznać jako doskonały nauczyciel młodzieży. Kochany i szanowny od wszystkich, sam też polubił szczerze Warszawę, i postanowił stale się w niéj osiedlić. W roku 1832 po ciężkich klęskach, jakie Bóg dopuścił na Polskę, po wojnie i po cholerze, wiele było nieszczęśliwych rodzin bez chleba, wiele było biednych sierót bez rodziców i bez przytułku.

Kilkanaście miłosiernych osób, widząc tyle nieszczęśliwych rodzin bez przytułku i chleba, postanowiło złączyć się razem

i wspólnemi siłami założyć Towarzystwo Dobroczyności. Jachowicz wziął pod szczególną opiekę szkółkę sierót urządzoną w towarzystwie Dobroczynności. Maleńka to była szkółka, zaledwie kilkanaście dziatek mogło się w niéj pomieścić.



Stanisław Jachowicz.

W skutek usilnych starań, wynalazł nowe fundusze na powiększenie szkółki; jakoż niedługo potem tyle przybyło sierót, że już pomieścić się nie mogły w domu towarzystwa Dobroczynności. Jachowicz umyślił zebrać potrzebne pieniądzie i wybudować oddzielny dom dla swoich sierót. Kołatał wszędzie gdzie mógł, zarówno do pałacu bogaczów, jak do ubogiej izdebki wyrobnika. Tym sposobem Jachowicz zebrał 80000.

W owym czasie w r. 1839 Warszawa poniosła ciężką klęskę z powodu wielkiego wylewu Wisły. Towarzystwo

Dobroczynności zajęło się natychmiast zbieraniem składek dla nieszczęśliwych nadwiślan; składki tak cudownie wzrastały, że z nich wkrótce urosły ogromne sumy. Z tych to pieniędzy dołączono 36000 złotych na składkę Jachowicza. Stanął też niedługo na nowym świecie dom dwupiątrowy o czterech oknach z porządnym podwórzem, w którym umieszczono około siedemdziesiąt chłopców; tyleż dziewcząt pozostało w gmachu towarzystwa Dobroczynności.

Z prawdziwą pociechą serca patrzał Jachowicz na postępy swoich sierót w naukach. W każdej potrzebie przychodziły one do domu jego, znajdowały w nim pomoc, wsparcie i radę, a wdzięczne za podjęte około nich starania, błogosławiły go i kochały jak Ojca. Kiedy w ostatnich latach mało mógł pracować, a ztąd dochody jego znacznie się uszczupliły, przyjaciele upominali go, aby dla drugich nie zapominał o sobie i o własnych dzieciach. Jachowicz mało zważał na te upomnienia i oddawał resztę, mówiąc: „mnie przecież wszyscy znają, to mi nie dadzą umrzeć z głodu, a ten biedak nie ma kawałka chleba.“

Ciągła i mozolna praca stargała wkrótce zdrowie jego i sprowadziła przedwczesną starość. Miał zaledwie pięćdziesiąt kilka lat, kiedy Bóg dotknął go niemocą i siły pomału opuszczać go zaczęły. W ostatnich jeszcze chwilach życia rozmawiał z kapłanem o ukochanych wychowankach swoich, o ubogich sierotkach ze szkółki.

W późnej jesieni roku 1857, uczuł się nagle słabszym i dnia 24. Grudnia 1857 r. w samą wigilję Narodzenia Bożego oddał, ducha spokojnie, bez cierpień. Cała Warszawa zapłakała rzewnemi łzami, dowiedziawszy się, że utraciła ukochanego dobroczyńcę, tkliwego ojca sierót.

Kasia żniwiarka.

Wróciła Kasia z sierpem od żniwa,
Na progu sobie siadła w komorze;
Znój jej perlisty po licu spływa,
Skłoniła złotą główkę nieboże, —

I patrzy sobie po Bożym świecie,
Na błękit nieba i sadku kwiecie.
Patrzy — aż oto tam na jabłoni
Przysiadła jakaś ptaszyna szara;
Pstrą muszkę goni, piosenkę dzwoni,
Głusząc szmer listków i brzęk komara,
A dziewczę słucha i mówi sobie:
— Ciężej ptaszyno mnie, niżli tobie!...
Nie zbierasz latem, wiosną nie siejesz,
O szatę, chatę nie łamiesz głowy,
W złotem promieniu słońca się grzejesz,
Spoczywasz w wonnym cieniu dąbrowy;
Pieśń twoją pracą, twoim pacierzem,
W błękitach lekkim żeglujesz pierzem.
Lecz nam ptaszyno nie tak się dzieje:
Nam ludziom ciężko pracować trzeba,
I pot się krwawy z czoła poleje,
Nim stanie kąsek czarnego chleba —
O wszystko praca, o wszystko troska,
Nic gotowego nie da dłoń Boska!

Złociste słońce zgasło za lasem,
Na ziemię pada rosa perłowa,
W sadku piosenka ścichła tymczasem,
Śpiewak na nocleg w prątki się chowa,
A dziewczę jeszcze powtarza sobie:
— Ciężej ptaszyno mnie, niżli tobie!...
Ale na polu skończona praca,
Drewniane wrota skrzypnęły w ciszy,
Sędziwy ojciec do chaty wraca,
Jedynej swojej słówko dosłyszy,
I dłoń jej biorąc w grube swe ręce,
Tak cichym głosem mówi Kasience:
— Widzisz dziewczyno gwiazdy na niebie,
Widzisz księżyca światłość promienną?
Choć oczy zamkniesz, one dla ciebie
Będą nad ziemią świeciły senną,
Będą świeciły, bo Bóg im każe,
By nad snem twoim trzymały straże.
— Tak, tak, tatulu! — dziewczę przerywa,
Aż ich zluzuje złoty blask słonka;

Wtedy mnie zbudzi piosnka skowronka,
Z sierpem na zagon pójdę do żniwa,
Złożę na garście, powiążę w snopy,
Pod wieczów sobie zliczę na kopy.
— A potem, potem?.... ojciec znów pyta.
— Potem, jak zawsze, zwieziecie doma;
Na chleb się ziarno omłóci żyta,
A dla bydlątek zostanie słoma.
Toż wy tatulu dobrze to wiecie,
Co rok jednako bywa na świecie.
— Tak dziecię, co rok łaska to Boża
Czuwa nad słabym rodem człowieka,
Dobroci Jego święta opieka
Strzeże źdźbło w ziemię wsianego zboża,
Wśród mrozów puchem śniegu okrywa,
Wiosennem ciepłem lekko ogrzewa;
Przezeń to deszczyk i krople rosy
Odwilżą kiełek, zanim omdleje,
Przezeń słoneczko ozłaca kłosy,
Aż zdrowe, jędrne ziarnko dojrzeje.
I wszystko takim porządkiem idzie,
Co nam w tej ziemskiej potrzebne biedzie.
Więc pomyśl sobie: opiekun taki
Musiał ukochać człowiecze plemię.
— Przecież gdy pierzem przyodział ptaki,
Nas bez odzienia zesłał na ziemię,
Zamiast nad ziarnkiem czuwać troskliwie,
Mógł chleb gotowy rozsiać po niwie;
I gdy dąb z liściem z ziemi wyrasta,
Dlaczego chata wyrość nie może?
Czemu len musi upleść niewiasta,
By z niego miała płótno nieboże?
Czemu gdy dobry i wszechmogący,
Czoło nam skazał na znój gorący?.....
— Czemu, niebaczna?.... Mądrość to święta
Miłość swą w tajnię pracy złożyła.
Pracy potęga, pracy to siła
Wyniosła ludzkość po nad zwierzęta;
Bo z konieczności pracy myśl wstała,
Która nam berło wśród stworzeń dała!....
Rzuć oto okiem, czarne te woły,
Jak straszne rogi mają na czole!

Przecież z snopkami do mej stodoły
Mogło je przywieść pacholę;
Bo musząc orać, jarzmo zrobiłem,
I słaby, siłą, pracą, podbiłem.
Błahy to przykład, lecz takim torem
Poszły ludzkości zwycięzkie losy.
Więc, jak przed chwilą umysłem chorym,
Śmiałaś o pracę skarżyć niebiosy,
Tak klęknij teraz, mówiąc w pokorze:
Dzięki Ci, dzięki za pracę, Boże!

Ilnicka Marya.

Przypowieści starej babki.

Moja babusia miała sto lat przeszło i taka staruszka była jak grzybek. Ja byłem wtenczas małym chłopczykiem, a dziś już siwe włosy okrywają mi głowę. Babusia nieraz posadzi mię na ławie przy sobie, a opowiada cuda z tego co zapamiętała

Pamiętam raz patrzy przez okno, pokazuje palcem na pole i mówi:

— Widzisz Piotrusiu tam zboże w kłosy się sypie, a wiatr po niem płynie jak po fali, bo to zboże daleko jak morze po naszym kraju zasiane. Będzie też chleba co nie miara, tyle narodu po naszych wsiach i miastach, a wszyscy się najedzą do syta. Piękne będzie żniwo w tym roku.

— Moja babusiu, zapytałem, dlaczego ludzie tak źle zbierają z pola, że tyle kłosów na ziemi zostaje?

— Moje dziecko, wiesz pan Bóg pamięta o wszystkich, karmi i ludzi i zwierzęta. Te obłamane kłoski on przeznaczył dla ptaszków, ale i bez nich tak dużo mamy chleba, że go sami nie zjemy. Ot my tym chlebem karmimy obce narody za granicą, karmimy Niemców łakomych, co u siebie już chleba nie mają a cisną się do nas jak śmiecie.

— To ich nie puśćmy.

— Jak tu nie puścić. Ziemia nasza miała swoich królów i swoją wolność, a dziś jest jak sierota opuszczona. Francuz ma swego króla i Anglik także, Niemcy mają cesarza i Węgrzy mają króla.

Moja babka żyła za czasów niemieckiego cesarstwa, a teraz już to się odmieniło i nie ma cesarzów niemieckich, tylko są królowie i cesarz austryacki.

Nie dawno wolność utraciliśmy, a już nami każdy pomiata. Ale na nasze bogactwa sąsiedzi łakomi i dobrze nas duszą, aby jak najwięcej wycisnąć. A mówię ci synu, ja lepsze czasy pamiętam, ale przyjdą jeszcze gorsze niż teraz — ty tego dożyjesz i wspomnisz moje słowa. Podatki będą większe, a pieniądze dzisiejsze pokasują i będą coraz gorsze, z jednego zrobią dwa i więcej, a nasz naród już tak wycisną, że się nawet nie będzie miał czem opłacić i ostatnią koszulę sprzeda na podatek, i ostatni kożuch zastawi, i ostatnią mu krowę zagrabią.

Na te straszne słowa mojej babki, ja dziecko małe płakać zacząłem, a ona mię pieści i pociesza:

— Nie płacz mały. Tak będą matki płakać po swoich synach, co ich popędzą w rekruty. Nasza nędza zhartuje nas tak jak żelazo. A gdy już na nas nie będzie co zagrabić, wtenczas naszym zbożem przestaniemy karmić zawłoki, wtenczas naród się weźmie za ręce i będzie jakby jeden człowiek. Wszyscy staną za jednego, a jeden stanie za wszystkich.

— Tych słów mojej babusi już nie rozumiałem, więc poczęła mi opowiadać o tych dawnych czasach, o tem co kiedy widziała lub słyszała, i ja wam też o tem opowiem.

Dziś nasza ziemia wabi swym chlebem Niemców i Moskali, dawniej napadali nas Turki, Tatary i Szwedy. Szwedy mieszkają za morzem Bałtyckiem. Z jednej strony dotykają morza brzegi naszej ziemi, z drugiej strony Szwedzkie wybrzeża.

Zima była mroźna, lód stanął na rzekach, zamarzło także i morze. Niezliczone wojska Szwedzkie puściły się po lodzie i weszły do naszego kraju. Nasze wojsko drogę wrogom zachodzi i staje do bitwy, tymczasem nie poszczęściło się, bo na wojnie tak bywa zwyczajnie, że raz przegrywa jeden, drugi raz drugi Nasi ustępują, a nieprzyjaciel zabiera miasto po miasteczku, wieś po wsi i gospodaruje, zwyczajnie, jak z cudzą własnością. Nakłada ciężkie podatki, ściąga rekruta, a naród biedny cierpi i ogląda się na króla. Wtenczas królował u nas Jan Kazimierz i byłby pewnie pobił wroga, ale jak mówiłem, nie

szczęściło się naszym Więc Szwed zabrał Warszawę i Kraków i już nawet dla króla samego nie było bezpiecznego miejsca, tak że musiał ukryć się za granicę.

Dumny król szwedzki już nawet wyciągnął rękę po nasza koronę i kazał się naszym królem nazywać.

Po nad Wisłą w Krakowie stał znak królewski; przy zamku kościół się wznosi. Tam się królowie nasi koronują, tam po śmierci naród ich ciała składa do grobów. Król Szwedzki kazał się oprowadzić po kościele i pokazywać groby królewskie. Idą przez kościół, ksiądz biskup krakowski tłumaczy Szwedowi, jak który ze zmarłych dla narodu się zasłużył.

— Tu, powiada, leży Władysław Łokietek. Nazwali go Łokietkiem dlatego, że był małego wzrostu, ale duszę miał wielką i serce odważne. On był trzy razy na tronie, bo mu nieprzyjaciele dokuczali i dwa razy musiał z tronu ustąpić, ale gdy trzeci raz wrócił i wrogów pobił; to i umarł już królem.

— Wasz Jan Kazimierz już pewnie nie wróci, rzekł król Szwedzki. A ks. biskup mu odpowiedział: W rękach Boskich są losy ludzkie. Król zachmurzył czoło, ale gdy spojrzał, a tu same trumny i groby królewskie, ustąpiła pycha z serca, i chociaż wróg ciężki, upokorzył się przed zwłokami tylu wielkich i rozumnych królów.

Słowom ks. biskupa, wyrzeczonym w kościele, dał pan Bóg moc proroczą, bo znalazł się między narodem mąż jeden silnego ramienia, co podniósł miecz i pobił Szweda. Ten hetman waleczny nazywał się Stefan Czarniecki. Wypędził Szweda z Krakowa i z Warszawy i za morze z naszym wojskiem popłynął, aby nieprzyjaciela zgnieść w jego własnym gnieździe.

A gdy się w naszej ojczyźnie uspokoiło, zaprosił naród znowu z zagranicy króla Jana Kazimirza, i nasz król powrócił i szczęśliwie panował. Ale gdy się zestarzał, zwołał cały naród na wielki sejm i powiedział:

— Długo służyłem memu narodowi i w wojnie i w pokoju. Strzegłem prawa i zaprowadziłem sprawiedliwość. A teraz się już zestarzałem i nie mam siły dźwigać ciężkiej korony

królewskiej. Wyście mię obrali na króla i dali koronę, więc ja wam oddaję teraz władzę w wasze ręce.

A naród przypomniał sobie, że dobrze mu było z królem Janem Kazimirzem i zapłakał gorzkiemi łzami i prosił, aby korony nie składał i aby dalej królował, ale on już był chory i stary, więc ustąpił z tronu, a naród począł radzić i rozmyślać, kogoby wybrać na króla. Bo nasz naród, dopóki był wolnym, sam sobie królów wybierał, a ja wam później opowiem, jak sobie poradził po ustąpieniu z tronu króla Jana Kazimirza.

Rozmaitości.

— Nowa książka. W Krakowie wyszła nowa książka dla ludu: Historya Polska ułożona w pytania i odpowiedzi przez W. W. przejrzana i poprawiona przez Wł. S. Anczyca. Jest to książka bardzo pożyteczna, a tak zręcznie i dobrze ułożona, że każdy z niej z łatwością pozna nasze dzieje, czasy dawnej potęgi i dzisiejszej niedoli, która spadła na naszą ojczyznę. Czytając tę książkę zdawać się może, że rozmawiamy z jakimś miłym staruszkiem i że ten opowiada nam dziwne historye o potężnych królach i wodzach Polakach, o zwycięztwach Polaków i wreszci o tej klęsce wielkiej, jaką na nas Bóg w ostatnich czasach zesłał. W. L. Anczyc, który tę książkę poprawił i wydał, napisał już dużo pięknych książek dla ludu a każdą z nich ludzie ze wsi bardzo skwapliwie kupowali. Podpisuje się on zawsze na książkach: Kazimierz Góralczyk. Pod tem nazwiskiem i wy go bardzo dobrze znać musicie. Raz wydał ten pisarz w Warszawie tak ładną książkę, że wieśniacy szli do księgarni warszawskich jakby na odpust i w krótkim czasie rozkupili kilka tysięcy egzemplarzy. Przeczytaliśmy już tę najnowszą książkę pana Anczyca i polecamy wam ją jak najmocniej, bo możecie się z niej bardzo łatwo wiele nauczyć i poznać dużo pięknych rzeczy.

— Wkrótce wyjdzie z druku powieść p. t. „**Narbutt**. Jest to ciekawe opowiadanie o ostatniem powstaniu na Litwie, połączone z życiorysem najsławniejszego z wodzów naszych z 1863 roku.

Ktoby chciał takową nabyć zechce listownie napisać do Redakcyi Dziennika polskiego.

— W Sokalu zgorzał d. 29 maja wieczorem klasztor Bernadynów, kościół parafialny i 46 domów wraz z budynkami. Kościół i klasztór Bernardynów szacują na 110.000 złr. zaś szkoda powstała z pożaru domostw i budynków mynosi przeszło 38.000 złr.

— Pożar. Dnia 7go maja spaliła się w Renijowie w powiecie Kolbuszowskim cała zagroda włościańska z sprzętami domowemi i zapasami zboża i dwa sąsiednie budynki. Szkoda wynosi 1659 zlr. Ogień miał być podłożony.

— Pożar. W Knichyniu pod Stanisławowem przedwczoraj zgorzało 20 domów. Na ratunek przybyła straż ogniowa z Stanisławowa wraz z ochotniczą strażą — oraz do 200 ludzi z kolei z sikawkami. Jednak między tymi ostatnimi a strażą ogniową i ochotniczą wszczęła się kłótnia, a sikawki jako działa, wymierzyli przeciw sobie — poczem rozwinęła się bójka i z obu stron wiele jest pokaleczonych.

— Nieszczęsny wypadek. Mikołaj Bodeluk, włościanin z Żabiego w powiecie Kosowskim d. 2go maja wracał wieczorem z karczmy do domu przez rzekę Czeremosz — porwany został przez prąd gwałtowny i utonął.

— Wypadki nieszczęścia. W Tarnopolu powiesił się d. 1. maja starozakonny Majer Schwarz. Przyczyna samobójstwa niewiadoma. Wasyl Gregoraszczuk włościanin z Załucza w powiecie Śniatyńskim wpadł przypadkiem do młynówki i utonął. Dnia 23 maja przy burzeniu muru przy ulicy zwierzynieckiej w Krakowie upadł kawał muru na wyrobnika Kazimierza Pachowicza i zabił go natychmiast. — W temże samem miejscu zasypało wapno M. Tuchalskę, pracującą przy budowie nowej kamienicy w Krakowie na ulicy gołębiej. Z pod gruzów wydobyto ją już nieżywą. — W Mikuliczynie, w powiecie Nadwórniańskim, dnia 23. b. m. porwało koło młyńskie mielnika Michała Żyllaka i tak go pokaleczyło że natychmiast ducha wyzionął. — W Szarej, w powiecie Gorlickim znaleziono d. 22. b. m. w szopie jednego włościana nowonarodzone dziecię nieżywe które tam przez jego matkę a służącą tego włościanina podrzucone zostało. — Dnia 17. bm. zabił piorun w Czarnej w powiecie Gorlickim włościanina i woła w polu. — W Tyczynie w powiecie Ropczyckim znaleziono w krzakach podrzucone dziecię. Dziecko to jest całkiem zdrowe i znajduje się pod opieką zwierzchności gminnej. Śledztwo sądowe w celu wyszukania

— Środek domowy na ból gardła. Zamoczyć małą chustkę w zimnej wodzie dobrze wykręcić i na noc obłożyć szyję i na to dobrze suchą chustką obwiązać by się to miejsce wypociło i nie przeziębić się. Można także, jak to wiarygodna osoba doświadczyła z dobrym skutkiem, chustę umoczoną i wykręconą pokropić trochę okowitą i tak szyję obłożyć — obwiązawszy także po tej dobrze suchem płótnem.

Redakcja Dzwonka przeniosła się z Wałowej ulicy.

Wszelkie listy i reklamacje upraszamy nadsyłać pod adresem Redakcja Dzwonka l. 602¼.

Redaktor odpowiedzialny i wydawca Kazimierz Okaz. — Z drukarni E. Winiarza